

# Jadwigi i Wandy niemieckich matek

Postawiony przez prof. Andrzeja Białasa problem „patriotyzmu małżeńskiego” przedstawiał się w XIX wieku niejednakowo w różnych zaborach. Poniższy fragment książki, którą przygotowuję do druku, jest rzutem oka na okoliczności spolszczania się rodzin mieszanych w pozostającym pod silną presją germanizacji zaborze pruskim.

– „Patriotyczne i katolickie przekonania mego pradziadka Aleksandra Tomaszewskiego zdają się pozostawać w sprzeczności z wyborem małżonki, nie dość, że pochodzącej z niemieckiego domu, to jeszcze ewangeliczki. Lecz serce nie służy, a zresztą jego samego wychowano na Polaka w podobnie mieszanym małżeństwie. Ponadto Aleksander, żeniąc się z Walerią Rausch, miał już swoje lata i z mariażem mogły mu się mieszać interesy materialne, a te chadzały własnymi drogami i niekoniecznie w barwach narodowych.

Ze strony Walerii małżeństwo z Aleksandrem wymagało jeszcze większych ustępstw. Aby wziąć ślub kościelny, konieczna była jej zgoda na wychowanie dzieci w wyznaniu katolickim. Wiązała się z tym perspektywa wychowania ich na Polaków, bo dla Aleksandra miało to zasadnicze znaczenie. W trosce o spójność rodziny i wychowanie córek, nie bez kozery noszących imiona Jadwiga i Wanda, posunęła się później Waleria jeszcze dalej, bo zmieniła wyznanie na katolickie.

Dwa pokolenia Tomaszewskich nie były tu wyjątkami. Rodziny mieszane, z których wyszły dzieci oddane Polsce, były w Wielkopolsce liczne. Daleko od nas nie trzeba ich szukać. Matką Ewy i Heleny Siuchnińskich, przyjaciółek Babuni Jadwigi, była Antonina Kallmann, też z pochodzenia Niemka, a obie wychowano na gorące polskie patriotki i katoliczki. Ich ojciec, właściciel hotelu (hotelista mówiło się wtedy) i składu kolonialnego w Buku, marzył wprawdzie o synach, którym zamierzał nadać imiona Trzech Wieszców, ale biologia pokrzyżowała mu szyki i skończyło się na Adamie, bo po nim przyszły na świat owe dwie dziewczynki.

Inna przyjaciółka i imienniczka Babuni, Jadwiga Dyczkowska, z domu była Richter, także z rodziny niemieckiej. Nie ma jednak lepszej ilustracji tego paradoksu niż zaprzyjaźniona w dwóch pokoleniach z Piotrowskimi rodzina Pospieszalskich. W ich domu do początku ostatniej wojny (ale ani dnia dłużej) dzieci z matką Heleną z domu Meiners rozmawiały po niemiecku, a wyszedł z niego polonista i zrzucony do Polski cichociemny Antoni oraz prawnik Karol, biegły w procesach gauleiterów z Poznania i Gdańska.

Być może rozróżnienie narodowości nie przedstawiało się żonom tak ostro, jak mężom i nie miało dla nich takiego znaczenia. Mężowie byli od polityki, żony od domowego gospodarstwa i obyczajów. Tak czy inaczej, zdążyły się pod tym względem na przekonania i wolę małżonków.

Stosunki Polaków z Niemcami nie były w Wielkopolsce proste. Współistniały tu odrębne wspólnoty narodowe, ale o niewyraźnych i płynnych konturach, mieszające się ze sobą na obrzeżach. Relacje ich układały się też odmiennie na różnych poziomach społecznych. Inteligencji obu nacji stanowili co najmniej niechętnie sobie srodowiska. Niemieccy urzędnicy, w większości napływowci, wprowadzali w czyn germanizacyjną politykę państwową, co czyniło ich oczywistymi przeciwnikami Polaków. Stykali się ze sobą na polach zawodowych, ale stronili od siebie na gruncie prywatnym.

Inaczej było w środowiskach mieszczańskich i plebejskich. Tam, w miejskim zagęszczeniu, mieli Polacy na co dzień do czynienia z Niemcami, poczynając od dzieci bawiących się razem na podwórkach, po stosunki sąsiedzkie, w pracy i w interesach. Od tego, czy ktoś jest Polakiem, czy Niemcem, ważniejsze bywały cechy charakteru, usposobienie, nawet powierzchowność – wszystko, co czyni ludzi atrakcyjnymi dla siebie. Tutaj łatwiej zawiązywały się między nimi znajomości, przyjaźnie i małżeństwa. Było to też główne pole obustronnych wpływów na obyczajowość i kulturę życia codziennego, niekoniecznie przenoszące się na poczucie przynależności narodowej.

Dwoistość tę wyraziście pokazuje specyfika językowa ówczesnego Poznania. Miał on opinię miasta, w którym mówi się najczystszą niemiecką. Miał ją, bo pełno tu było napływowych urzędników, oficerów i Niemców z wyższych warstw społecznych. Ale w tym samym mieście pospółstwo polskie, od wieków pewnie, mówiło gwarą poznańską, obszernie czerpiącą zapożyczenia z języka niemieckiego. Dla wyobrażenia sobie, co z tego wychodziło, choćby drobny przykład: „na bezczugu cygi pasał” (pasał kozy przy torach kolejowych) – tak wytykano pochodzenie z biedoty”.

W zaborze pruskim poczucie przynależności narodowej bardzo silnie łączyło się z wyznaniem. Koloniści pruscy przeważnie byli ewangelikami i centra ich lokalnych społeczności stanowiły luterzańskie zbory, tak jak Polaków katolickie kościoły parafialne. Znacznie mniej liczni i często rozproszeni wśród Polaków katolicy niemieccy łatwo się spolszczali, a główną rolę pełniły przy tym ich małżeństwa z Polkami. Świadom takich doświadczeń ostrzegał Bismarck w Izbie Deputowanych, gdy powoływano Komisję Kolonizacyjną:

– „Na zakupionych dobrach chcemy osiedlić Niemców pod takimi warunkami, które by nam dały pewność lub przynajmniej prawdopodobieństwo, że zostaną Niemcami – a więc żenić się będą Niemcy z niemieckimi kobietami, a nie z polskimi”.

Katolicy niemieccy rzeczywiście tak łatwo się spolszczali, że w 1904 roku władze Prus stwierdziły, że osadzenie ich na wschodzie kraju przez Komisję Kolonizacyjną nie ma sensu, bo nie służy wzmocnieniu niemieckiej.

MICHAŁ SZULCZEWSKI

em. prof. Uniwersytetu Warszawskiego